

Poetyckie skarby w nauczycielskiej kieszeni

Data publikacji: 18.01.2015 10:45

Poezja inspirowana literaturą romantyczną, ale też pracą nauczyciela, uczniami, ich błędami, które popełniają, jak również historiami niektórych wychowanków, jak chłopaka, który zginął w wieku 15 lat rozbrzmiewała w środowe popołudnie 14 stycznia w cieszyńskim Domu Narodowym. Swój wieczór autorski zatytułowany Skarby w kieszeni miała Monika Michałek.

Z pochodzenia Gdańszczanka w Istebnej, dokąd przyjechała, jak podkreśla, z miłości, mieszka już 25 lat. Jest nauczycielką języka polskiego w miejscowym Gimnazjum. Fascynuje się literaturą romantyczną, pisze wiersze, z mężem wydaje "Kalendarz z Istebnej, Jaworzynki i Koniakowa".

- **Praca w szkole jest bardzo inspirująca. Ciągle ma się do czynienia z młodymi ludźmi** – mówiła podczas spotkania nauczycielka i poetka przyznając, że wiele wierszy powstało właśnie z inspiracji szkolnych. - **Jak choćby utwór o zaimku, który często jest nadużywany: mój.**

O Istebnej, Śląsku Cieszyńskim Monika Michałek mówi z wielkim ciepłem. Zapytana, jakie dostrzega różnice pomiędzy ludźmi w regionie, z którego pochodzi, a ludźmi w regionie, w którym już wiele lat żyje bez wahania wskazuje na wielką otwartość mieszkańców Śląska Cieszyńskiego. – **Nie trzeba się znać, by ze sobą rozmawiać. Ludzie żyją tu we wspólnocie, której w miastach się już nie doświadcza.**

Były również utwory o morzu. W końcu to są rodzinne strony poetki, do których, jak chyba każdy, podchodzi z wielkim sentymentem. – **Morze jest wolne. Ja tylko bywam** – stwierdziła wspominając czasy dzieciństwa spędzone nad morzem i na osiedlowym podwórku pomiędzy półokrągłymi blokami będącymi efektem myśli jakiegoś socrealistycznego architekta. (indi)

A oto kilka wierszy poetki:

Trwoga

Anno Karenina, przebac, to nie małoduszność,
gdy o przegrzanej gryce rozmyślam z Lewinem
i na pożegnanie trawy z pierwszego pokosu
leżę całą noc w kołysce śmiechów czerwcowych.
Wybacz mi, nie piszę o udręce Twego biednego serca,
ale o tych cielętach i krowach, o ziemi zoranej
pługami chłopów w bezkresie pod samo niebo,
bo ustąpiły już mrozy na Jasnej Polanie .
Umarł Mikołaj, a Konstanty widzi śmierć
w lustrze: boczne zęby się psują, siwieją włosy...
więc szlocha nad bratem i siebie żałuje.
Nie płacz, Lewinie, łyż trzeba oszczędzać,
niebawem gorąca krew popłynie w bruzdach twej ziemi
zgnije podeptane ziarno, lepiej ci nie żyć.
Godło: Światło dnia

* * *

Spotkanie

Cień czekał jak zwykle obok kranów i kontenerów
już lepkimi korytarzykami skóry płynęła chłodna ulga
już z porcelanowych tabliczek patrzyli oni

na mnie patrzyli wszyscy
Jaki kołnierzyk jaka sukienka
ten smutny ta ma dziwną minę
zabił się lub umarł w starości
zasłużony mąż ojciec
dziewczynka ma dwa warkoczce
Poczekaj babciu
Muszę pogadać
Zapytać
Wąską ścieżką oddalić się od ciebie
wołają mnie dzieci wystrojone
Doganiałam ją u dziadka
Stęchłe liście zawsze tak samo
nawet w upale
butwiały za dwoma kamieniami
pachnąc w cieniu wielkiego drzewa
z którym mieszkał dziadek
Zwykle było coś do zrobienia
Potem babcia siedziała na ławce
A ja uczyłam się czytać
Wersy o narodzinach i śmierci
sylabizowane mozolnie imiona
wykluwały się z nieistnienia
i znikwały jak bańki mydlane

* * *

Na szkicu ołówkiem (Jana Wałacha)
wyprostowana kobieta
ubija masło w drewnianym naczyniu
dziecięce główki otaczają ją
miękkimi liniami warkoczyków
oczy
spod niesfornych grzywek
hojnie pomnażają
marny płomyk naftowej lampy
to środek świata
kobieta z berłem
wybija miarowo rytm
oczekiwania i spełnienia
żółta gruda wedle rozkazu
przeistoczona jak zwykle cudownie
zabłyśnie na pajdzie chleba
już za chwilę
tak rodzi się światło

* * *

Małe drzeworyty Jana Wałacha
Dwaj chłopcy wpatrują się w otwarte drzwiczki pieca
rozświetlone dziecięce twarze
obok siebie pochylone w zamyśleniu
nie tylko jasne ale i
ciepłe życiem
co trwa w tej chwili zastygłej
pnie świerków ledwie widać
bose stopy zanurzone w mroku
lekką unoszą drobną postać
chłopak dźwiga wodę w dwóch wiadrach,
głowę ma pochyloną w wysiłku

byle prędzej przekroczyć próg
byle do swoich
albo ta staruszka podparta o kij
z włosami niesfornie
opadającymi spod chustki.
zgarbiona pod wiązką patyków
słońce w południe doskwiera
na chwilę obraca twarz
patrzy się na mnie z ukosa
żebyś pamiętała-mówi
Wiem
małe dziecko klęcząc
głaszcze kurę w podwórku
oboje odgradzeni cieniem
płotu za którym trwa
pracowity dorosły dzień
pocieszają swe istnienie
teraz widzę
Janie drzeworytniku
jesteś tam
obserwujesz mijające sekundy
niezauważony
wciąż mało Ci i mało
tych objawień.
bo oto święte skinienie,
święte zapatrzenie
głaskanie psa
i kij święty
i ogień w kuchennym piecu ciemnej izby
dziewięćdziesiąt lat życia
nie starczyło
na ten zachwyty
* * *

Sandor Marai pisze dziennik
Sandor Marai pisze dziennik,
Wokół szaleje wielka wojna,
W gruzach kładzie się Europa.
Budapeszt płonie w ogniu-
Sypie się popiół pożądań,
Ambicji i sławy.
Spory w kawiarniach
Zmiotł już dawno wicher historii.
„Usiądź w łatanych spodniach
na zamarznętej ziemi-
Teraz jesteś w domu.”
Za chwilę będzie po wszystkim.
Sandor Marai pisze dziennik.
Marek Aureliusz i Montaigne
W głębokiej ciszy rozmawiają z Sandorem.
I nie ma już soli
A Rosjanie okrążają miasto.
„Poranny statek
manewruje w listopadowej mgle,
pomiędzy przęsłami mostu Małgorzaty”
Sandor Marai pisze dziennik.
Tak teraz, jak i potem.

Z kostką lodowatej świadomości w głowie
I narkotykiem literatury
aby przeżyć tę długą starość,
gdy przesypują się ziarenka piasku
w klepsydrze świata.
Sandor Marai pisze dziennik.
Lola upada w łazience.
Bliscy zmarli coraz ciaśniej
Zaludniają przestrzeń,
Więc Sandor wyrusza w drogę.
Pisze dziennik w wilgotnej jaskini,
Czeka
Bez strachu i bez pragnienia.
Na wybrzeżach San Diego
Kołysze się horyzont,
Tętni życie,
Coraz krótszy jego cień
Znika w oddali.

(indi)